

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

11

— A cóż wy sumienie roztrząsać będziecie? A co wy macie do mnie?! Czy to ja nie pani sobie?! Wy mi kazania nieprawie, boście nie ksiądz!... — Przecież cię już i ksiądz z ambony w niedzielę wypominał!

— A niech se wypomino! Mogę mu jeszcze papierka zanieść, żeby mnie wypominoł i drugi raz! — Sojkowa! — huknął nagle jeden z mężczyzn — a nie ostwirajcież tak gęby, żeby wam jej kto nie przywar! Uchłala się, jak nieboskie stworzenie, to i myśli, że na jegomością czekać jej wolno! A to wstyd, hańba dla wsi taki „lofer“, taka pijaczka!

— Na żebry pójdziesz!

— A to choćbym na żebry szła, waszą chałupę ominę! A teraz cacie mi się z drogi, bo jak nie, to...

— Kopkowa! Kopkowa! — ozwały się głosy — a ostawcież ją... Szkoda se gębę psuć do takiej!

— Szkoda dzieci i gospodarstwa! — broniła swojej interwencji Kopkowa.

— Nie poradzicie nic, chyba, żeby ją bez sąd za „trawnomarną“ uznać...

Kopkowa zrezygnowała z dalszego upominania Franki i cofnęła się nieco w tył.

Młoda kobieta szła dalej, nie zwracając na nikogo uwagi. Na twarzy jej malowała się zaciętość, jakby na złość wszystkim zaczęła znowu śpiewać:

Jakem była grzeczną panną, grzeczną panną,
Chodziliście chłopcy za mną, chłopcy za mną!
A teraz mnie nie widzicie, nie widzicie!
Bo kołyszę małe dzieci, bo kołyszę małe dzieci!...

Ten i ów splunął, lub machnął ręką pogardliwie, ale nikt się już do niej nie odzywał.

Kopkowa przysunęła się do chłopca w baranicy.

— Kumie Walenty, a przywieziecie mi żyto z „działu“?...

— Okrutnie czasu nimom — mruknął Walenty — teraz wielka bieda o kunie... Mój kary ani odpocząć nie zdole.

— Przyjedźcież, mój kumoterku, jak was proszę... Pogoda się odmienić może i żyto mi zaleje... A cóż ja biedna kobieta poradzę, jak mi wszystkich synów do wojny wzieni!...

— Za dziesiątkę przyjadę — inak nie — zacydował chłop. — To daleko i droga ciężka... Trza będzie ze trzy razy nawrócić... I to papierki od razu na rękę...

— Kumie, miejcież zmiłowanie... Tela piniendzy!

— Takie teraz czasy! Teraz ino śmierć tania i to niekunikniecznie, bo księdzu za pogrzeb zapłacić musisz, jak się patrzy, a i kościelnemu i organiście drożyj zapłacić, jak dawniej...

— To mi choć zaczekojcie tych centów!... Dziesiątka na roz... nie wydołę...

— Bórg umarł, a kredyt nie żyje, kto nie ma piniendzy, niech nie je, nie pije! — odparł sentencyonalnie Walenty. — Jak se chcecie... Kto kunia ma, to do niego ludzie, jak na procesję chodzą, a o robotę proszą...

— Precent w kasie opłacić muszę...

— A co mnie do waszego precentu...

Kopkowa opuściła posępnie głowę i pogrążona w niewesołych myślach, powlokła się w kierunku swego domu.

Co będzie, jeżeli nie znajdzie kogoś, ktoby jej zboże przywiózł i na jakiś czas zakredytował?

Starą, zmęczoną, przepracowaną wdowę przyniatał ciężar gospodarstwa, którem zarządzać musiała sama, kiedy jej synów zabrano do wojska.

A płacić robotników nie było czem, bo grosz mało kiedy płał się po chałupie. Za syna tylko jednego zasiłek brała, bo tamci dwaj „swoje roki“ mieli.

Krowa jedna tylko była i to nie najlepsza. Skąd wziąć pieniędzy?...

A tu jeszcze ludzie straszą, że jak rat w kasie płacić nie będzie, to po wojnie przyjdzie cały kapitał oddać od razu. Jedni mówią, że to prawda, inni, że takie tylko bajki, ale kto tam wie, kto się na tem zrozumie... Pewnie, że nie ona, Kopkowa, która „drukowane“ nawet z trudnością czyta.

I strach wielki, przemożny chwyta za serce, że może nie wytrwać, że ta ziemia ukochana z rąk się jej wysunie...

A teraz co z tem żytem począć?... Jak zamoknie, to i zgnięje...

— Chyba, żeby do dworu poszła — rozmyśla Kopkowa — młoda pani ponoś bardzo ludzka i jej chłop także... On nie ze ślachty, tak gadają, bo z chłopska się nazywa... Walcak, czy jakoś...

Ale Kopkowa nie miała śmiałości, żeby iść do dworu prosić o pomoc w robocie. Przywykła już do tego, że sama radzić sobie musi i powinna.

— Uradzę, muszę — decyduje się — choćbym na plecach po snopku dźwigać miała.

Palce jej zaciskają się mocno, jakby na znak, że własności swej nie wypuszczą...

Franka Sojkowa zbliżała się także do swojego domu.

Troje dzieci brudnych, nieuczesanych, obdartych, głodnych czekało na nią.

Na widok zbliżającej się matki powstał pisk radosny...

— Idom mamusia... — zawołała najstarsza ośmioletnia dziewczynka.

— Dadzom jeść... — wtórował dwuletni chłopczek, ubrany tylko w króciutką koszulinę, nie sięgającą mu nawet do kolan.

— Dadzom jeść... — powtórzyła średnia dziewczynka, ale po chwili dodała trwoźnie. — Pijani som, bedom bić...

Oprócz dzieci ktoś inny jeszcze oczekiwał powrotu Sojkowej.

Nuchim Weinkraut, zalesiński karczmarz, sklepikarz i faktor, siedział na kamiennych schodkach przed chałupą, która raczej na miano porządnego domu zasługiwała.

Obecnie jednak dom ten, kryty dachówką, z obszernymi izbami, porządnymi piecami i dużymi oknami, przedstawiał smutny widok opuszczenia i zaniedbania.

Znać było, że nikt teraz nie stara się o to, by mu nadać czysty, wesoły wygląd. Wapno opadało kawałkami, ścieżkę zarastały chwasty, sień pełna była śmieci, porozrzuconych brudnych szmat i połamanych, poniszczonych sprzętów gospodarskich.

Żyd, ujrawszy gospodynię, uklonił się bardzo grzecznie, okraślił twarz uprzejmym nad wyraz uśmiechem:

— Moje szanowanie pani Sojkowej! Jak się pani gospodynin ma! Tak pani ślicznie wygląda, jak jedna róża!

Sojkowa z uśmiechem zadowolenia wysłuchiwała komplementu i wyciągnęła do Żyda rękę.

— Dzień dobry, panie Nuchim!

— Ja tu przyszedł trochę zapytać się o zdrowie pani Sojkowej i czy pani Sojkowa czego nie potrzebuje... Może pieniądze... może materiję... może śliczne nowe buciki... Moja Ryfka z Krakowa przywiozła... Rarytny towar i jaki tani, jakby za pół darmo...

— Dacie?... Pożyczycie?... Zborgujecie?...

— Dla pani Sojkowej zawsze jest... Pani mi tylko kwit podpisze, taki mały kwit... Nie, żeby ja pani Sojkowej nie ufał, ale tak, dla porządku!...

Franka roześmiała się chrapliwie.

— Panie Nuchim! Walny z ciebie człowiek! W brodę bym cię pocałowała...

Weinkraut uśmiechnął się.

— Co pani Sojkowa ma mnie całować, starego, brzydkiego, kiedy może być ktoś młody, ładny i „eligancki“... Pan pisarz ze Skowronkowic, to on się mnie ciągle dopytuje o panią Sojkową...

— Nie gadajcież...

— Na moje sumienie, dopytuje się...

— Mamo jeść! — zaszlochał malutki Jaś.

— Mamo jeść! — pisnęła za nim starsza dziewczynka.

— A nie pójdziecie wy, raki zatracone! Drą się i drą... Poczekajcie, panie Nuchim, muszę tę halastwę nadzgać... Niech się nażrą...

Chwiejąc się trochę na nogach szła do izby, a za nią Weinkraut i dzieci.

Żyd rozglądał się krytycznie po wszystkich kątach, patrzył na brudną, nie zamiataną od kilku dni podłogę, na niebiełone od dawna ściany, na zegar, który nienakręcany stanął, na nieumyte miski i garnki — i pogardliwy uśmiech pojawił się na jego ustach.

Na stole leżała duża koperta firmowa.

— Pan adwokat Benert pisał? — rzucił od niechcenia Weinkraut.

— A pisał...

Mecenas Benert posiadał w Zalesinkach liczną klientelę, pomimo, że w najbliższej okolicy było kilku adwokatów.

Klientów tych napędzali mu Nuchim Weinkraut i zięć jego Herman Grinszpán, pobierając za to oczywiście sute faktorne.

A kto się raz dostał w opiekę prawną pana mecenasu, ten zaplatał się w nastawione sieci.

Historia o pajaku i musze powtarza się.

— Pan mecenas Benert to bardzo mądry adwokat — ciągnął dalej Żyd poważnie, skubiąc przytem swoją gęstą brodę. — Jego słowo, to wielkie słowo... Tylko pamiętać, zapisać sobie i słuchać! Już jak on co radzi, to tak jest, a nie inaczej... Aj, co to za adwokat, on najpierwszych panów sprawy prowadzi... On pewnie pani Sojkowej co ważnego pisał?...

Weinkraut liczył widocznie na gadatliwość kobiety, pobudzoną wypitym trunkiem, ale w Sojkowej, pomimo zamroczenia wódką, ozwała się nagle chłopska skrytość i nieufność.

Odpowiedziała wymijająco:

— E.. takie ta różne pisał... Gadać nie warto...

Podeszła do pieca, wyjęła z szabaśnika wczorajszy groch z kapustą i poczęła rozdzielać zimne jedzenie dzieciom, które się chciwie, łapczywie na tę strawę rzuciły.

Żyd zagadywał jeszcze to o tem, to o owem, ale niewiele już mógł z Sojkowej wydobyć. Ruchy jej stawały się coraz więcej niepewne, chód coraz chwiejniejszy, oczy zachodziły mgłą.

Wódka, upał, zmęczenie rozmarzyły ją i mroczyły coraz silniej. Wreszcie zwała się na łóżko, jak kłoda i belkocząc jakieś słowa bez związku, zasnęła.

Weinkraut stał jeszcze przez chwilę w izbie i przypatrywał się śpiącej kobiecie z nieukrywanym już teraz wyrazem ironii i wzgardy. Podeszedł do stołu, wziął do ręki kopertę z nagłówkiem kancelarii adwokata Benerta, ale że nie było w niej listu, położył z powrotem.

Powolnym krokiem wysunął się z izby, zamykając cicho drzwi za sobą.

Przed domem przystanął i rozglądał się wokół przez długą chwilę, jakby oceniając wzrokiem i solidne podmurowanie i porządną stajnię i piękny kawałek gruntu, ciągnący się tuż koło samego gościńca.

— To jest punkt, złoto nie punkt! — szepnął sam do siebie.

Wreszcie skinął głową, uśmiechnął się tryumfująco, a uśmiech ten miał oznaczać: „to wszystko moje“.

Niepewnie, z jakimś dziwnie nieswojskim uczuciem, jakby wytrącona ze swego zwykłego żywiołu, przeniesiona w świat obcy, rozgląda się Hela Lidzińska po izbie, wprawdzie czysto wybielonej i wymytej, ale niskiej, dusznej, z małymi kwadratowymi okienkami i dużym piecem kuchennym.

Niema tutaj jeszcze żadnych mebli, tylko pod ścianą stoi łóżko, pomalowane na ordynarny żółty kolor z zielonemi kwiatami, a pomiędzy oknami prosty biały stół. Na ścianach wisi kilka jaskrawych obrazów „świętych“, kupionych widocznie gdzieś w kramach jarmarcznych lub odpustowych.

Na środku izby na podłodze białej, trochę nierównej, z szerokimi szparami, złożone kufry i paki panny Lidzińskiej.

Hela rozumie, że za kwotę dziesięciu koron trudno żądać piękniejszego apartamentu i lepszego umeblowania, wie o tem, że nauczyciele więcej nie w pałacach, ani nawet w kamienicach z „komfortem“, ale w chałupach chłopskich mieszkać muszą.

Niemniej dziwnie jej jakoś. Rwała się gorąco i szczerze do samoistnego bytu, do własnego, choćby najskromniejszego mieszkanka, ale teraz ogarnia ją coś, jakby strach, przed tem nieznanem otoczeniem i życiem w tak nowych warunkach.

Przywykła od dziecka do wykintu, komfortu, wygod i estetyki, więc mimowoli przeraża ją surowa pierwotność nowej siedziby.

Przez otwarte okna płynie bynajmniej nie poetyczny zapach kwiatów, ale bardzo prozaiczna i wielce niemiła woń gnoju, zawzięcie wyrzucanego ze stajni przez podkasaną do kolan gospodynię i brudnego chłopaka.

— No, przecież chyba nie ciągle gnój wyrzucają — pociesza się Hela. — Zresztą śmieszne! Co jest, przyjąć muszę! Czegóż to ja spodziewałam się? Pałaców Szeherazady, czy ogrodów czarodziejskich?! Rozpieściłam się i tyle!... Czy to ja jedna tak mieszkam?!... A przynajmniej to moje, moje własne mieszkanie, gdzie jestem sobie panią i niczyjej łaski nie potrzebuję...

Dzielna, energiczna natura Heli otrząsnęła się z chwilowego zniechęcenia.

Podeszła do okna i wpatrzyła się w sad... Grusze, jabłonie, śliwy, gęsto osypane niedojrzałym jeszcze owocem, zapowiadały plon bogaty. Gdzieś niedaleko rumieniły się już wczesne jabłka.

(Dalszy ciąg nastąpi).